№ 9. Warszawa, dnia (19 Lutego) 3 Marca 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.	półrocznie . . „ 2.50
	rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie:** Kwartalnie **flor. 1.80.** Na prowincyi **flor. 2.20. W Poznaniu** kwartalnie **mr. 3,** na prowincyi **mr. 3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60,** lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: **we Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** Księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy **Księgarnia Świętego Wojciecha** w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** **„Nadesłane”** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika” — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał drugi roku 1900.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści” w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

SEWER.

LEGENDA.

(Dalszy ciąg).

— Ciągle ta nieśmiertelność i ciągle ta wieczność, że się drży ze strachu przed nią— skarżyła się Józia.

— Ha, to zniszczmy nasze nerwy i zmysły— szepnął Jan — niech z nich uwolni się dusza i idzie w wszechświaty.

Józia patrzała trwożnie na męża.

— Nie wolno! — zaprotestowała Zosia. — Z czemże pójdziemy tam?!.. Tu trzeba duszę naszą wzmocnić i zahartować, przeidealizować i zindywidualizować (uosobnić), aby mogła być wiecznie sobą.

— Zosiu, dziękuję ci! powiedziałaś wielką prawdę. Jaś, przeproś ją zaraz.

Ujęła rękę Zosi i poniosła do ust Jasia. Pocałował serdecznie i zarumienił się, lecz zmrok wieczorny ukrył rumieniec.

Zamyśleni szli zielonem błoniem. Z południa sierp księżyca mknął cicho przez ciemnoniebieskie przestworza, a na zachodzie świeciła srebrno-seledynowa jasność. Wierzchołki chmur na samych czubkach rumieniły się tęsknotą za słońcem, a na błoniu rosa i miękka murawa głuszyły ich kroki. Robili wrażenie duchów kroczących wśród mgieł i ciszy wiosennego wieczoru.

Przed nimi wioska stała wieńcem. Czerwone punkciki ogni wyglądających przez otwarte okna odznaczały chaty. Za nimi ciemny las ogrodów i starych drzew parku. Rzucili się na lewo przez olszynki do szkoły. Zosia zaczęła nucić starą pieśń kościelną, pomagała jej Józia, Jaś milczał, wchłaniając w siebie dobrą radość swego serca.

* * *

Sosnowice dnia 28 Maja 189... roku.

Kochany Guciu!

„Jestem zaledwo drugi dzień w tej zabitej deskami od świata wiosce, a już czuję się jak u siebie, w własnym domu. Mieszkam w bawialnym pokoju państwa nauczycielstwa. Na ustawionym w rogu stoliku piszę do ciebie.

„Noc, cisza przerywana dalekim odgłosem wartowników wiejskich lub uderzeniem o szybę lecącej do światła ćmy. Zdaje mi się, żebym usłyszała twój krzyk. Cóż kiedy nie wołasz!

„Jak dotąd cieszę się, żem tu uciekła przed waszą robotą słów, wymęczoną fantazyą i dobrze mi... Zaczynam pojmować poezyę życia i żywą poezyę czynu. Dusza nasza objawia się w czynach!.. Lecz ty tego nie odczuwasz, bo dla ciebie złudzenie jest życiem, a życia nie uznajesz w czynie, do czynu masz wstręt— i dlatego żal mi cię, i dlatego uciekłam od was—i rada jestem, i uważam ten mój czyn za dobry znak siły, za uczciwą energję moją.

„Odcięta od waszych natchnień fantazyi i wysileń. znalazłam się sama u pełnego zdroju życia i żywych pragnień. Posłuchaj.

„Wioska jak gdyby dla mnie stworzona i ludzie w niej. Nauczyciel w twoim wieku, na początku chciał mi dać uczuć władzę kierownika szkoły, lecz dobre porywy serca zwyciężyły w nim dumę odrazu. Uczciwy, sentymentalny, chciwy wiedzy i kultury, nazwał mnie „panią z kanapy“ — to dobre... Żona jego serdeczna kobiecina, ładna i łagodna. Wyobraź sobie, że i ona ma tęsknotę pozaświatową, tęsknotę nieskończoności, lęk przed nią i żal nieświadomy ściskający jej serce... To ją robi w jej prostocie i szczerości nader sympatyczną i pociągającą. Kocham ją jak córkę i tulę do siebie, a ona przyzwyczaja się

do mego duchowego macierzyństwa, boć w jednym wieku jesteśmy.

„I tu można wśród zieleni rosnących zbóż i żółtych piasków znaleźć tęskniące dusze, drżące przed majestatem nieskończoności.

„Dla dzieci również stałam się matką. I one odczuwają rodzaj mej miłości i jako do matki garną się do mnie. Niektóre w porównaniu z własnemi matkami mają mnie za świętą. To przecież przyjemność być świętą dla dzieci i rzucać im uroki miłości, jakby z nieba. Lecz ty tego nie rozumiesz, bo nie pojmujesz, jak można iść do maluczkich sercem i sercem ich prowadzić do światła...

„Na drugi dzień rozpakowałam wielki mój kufer—podziw wioski!.. Ilością książek i ich tytułami oniemiłam kierownika i przygniotłam go tak, że musiałam to wrażenie usuwać.

„Pracowałam całe popołudnie w ogrodzie. Tu kierownik był moim mentorem.

„Przed zachodem słońca poszliśmy do lasu. Zaklęty milczeniem i urokiem ciszy stał przed nami w niemem przerażeniu. Suche liście chrzęszczały pod naszemi stopami. Jak w tajemniczej świątyni słychać było przytłumiony odgłos kroków budzący bóstwa. Widocznie jestem pod wpływem waszej formy i waszych porównań!..

„Dobrze mi było w lesie—tęsknię za lasem i marzę o nim, jako o fortecy, ucieczce, schronisku... Czy to atawizm duszy słowianina, tęskniącej do swego matecznika?.. Czy to wspomnienia dzieciństwa mego?..

Zachodzące słońce zapaliło las snopami jaskrawo-czerwonego światła. Uciekałyśmy ścieżką przez gaje olszowe nad rzekę... I raptem zmieniłam się w świteziankę, raczej Uszwiczankę!.. Przy księżycu śpiewałam, śmiałam się, pluskałam wodą, kryłam się w wiklinę!

„Ty tego nie odczuwasz. Ciebie pociąga woda senna, gładka, zamrożona tęsknotą, a na niej jako wcielenie łez i skruch, płynące białe łabędzie w pozaświatowej wieczności.

„Często nucę sobie tę strofę poezyi waszej:

Po wodzie blado-lazurowej,
Po sennej ciszy błędnych fal,
W melancholijnym długim rzędzie,
Jak biały smutek Chrystusowy,
Niewypłakany nigdy żal,
Pływają białe łabędzie.

„Lecz wieczny nastrój i wieczny smutek nużą, kładą do snu, hypnotyzują, gdy my pragniemy życia, światła, energii, wiosny — i w wiośnie szaleństw szlachetności, i czynów młodości. Zdaje mi się, że wy macie żądanie sypania maku w nasze mózgi i podajecie nam za napój jego odwary. Nie blaski i huragany młodości, lecz senność idzie od was, senność męcząca, bezwładna, kamienna, wieczna senność przerywana orgią, aby po niej sen cięższy był i jeszcze więcej nużący.

Uciekłam od was! Wam wystarczają pozory i złudzenia — i tylko jedno jedyne natchnienie... Rzetelna poezya duszy jest poezyą czynu, wiecznem życiem. Uciekłam, boję się waszego kłamstwa—kłamiecie przed sobą samymi, a w formie tak pięknej i tak ponętnej, a tak bez treści i siły życia, że czuje się płytę ołowianą przygniatającą czaszkę.

O przyjdź jesienią
W chwilę zmierzchu senną, niepewną
I dłonie
Twe przejrzyste, miękkie, woniejące,
Na cierpiące
Połóż mi skronie,
O śmierci!

„Wzywacie śmierci po bezsennie spędzonej nocy, po zupełnem wyczerpaniu. Może i macie na tę chwilę ochotę, aby wam śmierć „miękie kładła dłonie na cierpiące skronie.” Lecz tym, którzy nie przepędzają bezsennych nocy, a są porwani waszym talentem i waszym nastrojem, odbieracie energię, siłę, czyn. Pomyślcie: całe społeczeństwo pragnące, aby woniejące ręce kładła śmierć na jego skronie?

„Dla was to jest nastrojem, fantazyą, grą słów. Wy znów nazajutrz będziecie się bawić i używać. Jesteście młodzi i nie wierzycie aby śmierć przylatywała na każde skinienie, lecz ludziom stroskanym naprawdę, zmęczonym w walce życia... Co im dajecie?.. Czyż ta poezya wasza jest ożywczym dla nich nektarem?.. Poezya wasza dla nich — to śmierć. I ta wasza „naga dusza,” ten bezwzględny absolut, to wielka egoistka, ona tylko jest dla waszych uciech i waszych rozkoszy, waszych przeczuć, waszych natchnień... Przyjemność wam sprawia, gdy w halucynacyach czujecie ją, chociaż nie widzicie. Halucynacye pierzchną i nic nie zostaje—pustka i absolut jeszcze więcej od was oddalony.

„Przerażającą pustką czuć wasze poezye, że nieraz pragnie się zawołać z Krasińskim: „Wy dajecie życie zwodnicze waszym utworom, że na chwilkę potrafią udawać aniołów.” I dlatego uciekłam od was!

„Wyosobniona z pod waszych wpływów, czuję, że dusza moja pragnie żyć we mnie — przezemnie, wyciągać ręce miłości do całego kraju, pragnie go objąć, przycisnąć i zrobić podobnym do siebie...

„Wioska daje mi spokój rozkoszny, zdrowy dla młodej duszy mojej. Daje mi pracę tak miłą i wypoczynek poszarpanym nerwom, daje mi rozkosz spełnienia moich obowiązków, tej punktualności i ciągłości, co krzepi umysł i tworzy wiarę, że się jest użyteczną, że się spełnia zadanie, jakiego się podjęło, że jestem kółkiem w wielkiej maszynie życia.

„Z nagą mą duszą, z cząstką Boga, z absolutem przez was nazwanym, zobaczę się wtedy, gdy z ciała mego wystąpi i podziękuję jej, że mnie nie bodła i nie szarpała, za odrobinę wątpliwej rozkoszy odczucia jej w oderwaniu za życia. Uciekłam od wszelakiej nagości ducha i dziękuję Bogu, że mnie wywiódł z tej ziemi egipskiej, z domu niewoli, na szerokie łany naszych pól i ich zapachów, do ludzi prostych i naiwnych, u których myśli kiełkują razem z pragnieniami zbawienia duszy...

„W dzieciństwie żyłam na wsi, jako córka dziedzica i pana włości, a los nas wyrzucił z obronnego stanowiska... Po długiej ewolucyi, wracam znowu na moją ukochaną wieś, tylko w innej formie i przeobrażeniu — postawiona bliżej, w bezpośredniem zetknięciu się z ludem, jako nauczycielka... W tej nowej formie czuję, że zadanie moje jest łatwiejsze, milsze i większe korzyści dające...

Takie koła zataczają dzieje naszego rozwoju...

„Dwunasta bije—i gdy wy zaczynacie ożywiać humor, młodość zaczyna w was grać, a przytępione nerwy budzić się, fantazya wydobywać się ze zwojów mózgowych, ja gaszę światło, kładę się i zasypiam z wiarą, żem nie zmarnowała przeżytego dnia.

„Bądź zdrów, biedny Guciu, poeto fantazyi, która cię dręczy—nastroju, który cię usypia, a zasnąć nie daje—natchnienia, w którem szukasz Boga, a znajdujesz nicość...

„Napisz gdy będziesz miał ochotę do przyjaciółki szczerej, życzliwej, której się w tej chwili spać serdecznie chce.

Niech sen szczęścia pozłacany
Zamyka oczy dziewczyny,
Wszędzie maliny, maliny, maliny...

„Ach ten Słowacki. Cieszę się, że na falach jego poezyi zasnąć mi wolno.

Zofia.“

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z PRASY.

Bale ziemiańskie, artystyczne, doktorskie, prawnicze, sympatyczne, tak zwane „coś nowego,” kostiumowe, bale intelligencyi—oto czem nas przez całe dwa miesiące karmiła nieprzerwanie prasa codzienna, co nam się co chwila, niby owad natrętny rzucało do oczu z każdej szpalty, a co dotąd objawia się rozstrojem jednych, a smutnym nastrojem drugich. Czy objawia się u kogokolwiek z uczestników wyrzutem lub żalem — twierdzić nieśmiemy, bo na to potrzebowalibyśmy mieć dowody, a tych dowodów brak nam zupełnie.

Zasnąć nam tylko nie daje ten wyraz intelligencya, bo jakież to doprawdy dowolne, a często i samowolne określenie! Dobrze to jest tak ryczałtowo objąć niem całą jakąś grupę społeczną, ale to przecie obowiązuje chyba do czegoś to miano — z tegoby się trzeba jakoś czynem usprawiedliwić, jeśli nie przed opinią, bo tej damy niema podobno w domu na tę chwilę, to przynajmniej przed świadomością własną i własnem sumieniem, jeśli notabene ta świadomość i to sumienie istnieją w istocie, bo i o tem wolno powątpiewać niekiedy.

W każdym razie, jeśli w pewnych okazyach tak nazywająca siebie intelligencya ma robić wszystko to samo i tak samo, jak nieintelligencya—jeśli identycznie zupełnie szaleć może jedna jak druga, jeśli niewolniczo naśladować będzie dzisiaj tych, których urągliwie wyszydzała wczoraj, jeśli członkowie tej grupy niby uprzywilejowanej, a przytem nieubłagani sędziowie przeszłości, kurczyć się potrafią wobec każdej naglącej potrzeby społecznej, a przy zdarzonej okazyi rzucać złotem jak parweniusze, lub niepoczytalni, to prawdopodobnie nie wielkim będzie zaszczytem zaliczać się do tego grona. W każdym razie korzystniej jest dla członków tamtych sfer bez przywileju, bo im przynajmniej po nadużyciach umysłowa i moralna nieodpowiedzialność pozostaje na obronę!

Uporczywie staraliśmy się o to, aby zabawę z domów prywatnych wynieść do oberży, tymczasem pokazuje się, że i ta metoda ma

swoje strony ujemne. Jest się jak w latarni i ani rusz pofolgować sobie, jakby dusza pragnęła bez pozyskania należnego rozgłosu. To jest niedogodność—wielka niedogodność i temu powinna intelligencya jako taka umieć zaradzić, bo ostatecznie od czegóż ona jest? A jak nie, to pierwszy lepszy nieintelligent dworować sobie będzie potem jak z równych, i opowiadać o toaletach kobiecych, o strumieniach wina, które rozlewała intelligencya mężka, o animuszu zapamiętałym i t. d., i t. d., i t. d.

Już jak tam było wreszcie tak było, ale dobrze że się te gody raz skończyły, jakkolwiek żeby to miał być koniec stanowczy — trudno przypuszczać. Pozostaje zwykle w takich razach jako reminiscencya tego naprzykład rodzaju rozgłos, jak ten, o którym wspomnieliśmy, pozostają naruszone budżety, które zapewne nie tak rychło powrócą do równowagi, wreszcie pozostać musi jakiś zamęt w czynnościach, i to szczególne zaciemnienie poglądu na wszelkie objawy ogólniejszego znaczenia, które długotrwałe roztrzpiotanie się i karnawałowy kąt zapatrywania na czas jakiś zostawiają po sobie. Musi tak być chyba, bo i wśród bieżących wydarzeń trafia się nam niejedno, którego inaczej sobie wytłómaczyć nie możemy, chyba jakimś właśnie tego rodzaju karnawałowem zahypnotyzowaniem czy zamroczeniem, przedstawiającem ludzi, ich sprawy, ich obowiązki i prawa wbrew przeciwnie, niżby sąd zdrowy nakazywał. Rzeczy wielkie i ważne przedstawiają się wtedy jako błahe i nic nieznaczące — bagatelnym—takim, obok których wolno przejść zaledwie ruszywszy ramionami, nadajemy rozmiary bezsensownie wielkie—jednem słowem pogląd trzeźwy idzie na wywrot, a rozsądek na spacer!

Gdyby nie tak było jak mówimy, nigdyby przecież prasa nie poruszyła chyba, a poruszywszy nie rozmazała tak niezdarnie sprawy p. Kruszelnickiej, jeśli to wszystko razem wzięte sprawą nazwać się godzi. Tymczasem jest to już dzisiaj nietylko sprawa, ale to, co się w obcym języku i w powikłaniach pierwszorzędnego znaczenia określać zwykło terminem: *incydent*. Nie wiecie zapewne czytelniczki, jakiego rodzaju jest ów zatarg śpiewaczki warszawskiej z opinią warszawskiej prasy, więc postaramy się przedstawić tę rzecz w możliwem streszczeniu.

P. K. pojechała do Petersburga, a ponieważ stanowisko jej społeczne jest widać aż tak dalece wpływowem i wysuniętem na widownię, że ma prawo być interwiewowaną, tak jak się to przytrafia pierwszym ministrom i członkom akademii, przeto do tego obowiązku poczuł się jakiś pan reporter „Kraju" i zapewne w imieniu kraju interwiewował tę panią. Okropnych rzeczy dowiedział się ten człowiek!.. Dość wam będzie powiedzieć czytelnicy, że p. Kruszelnicka powiedziała mu, że wyraźnie Włochy są, jak się to w języku artystycznym nazywa, jej *patrie de musique*.

A więc usprawiedliwienia, ich przedruki w pismach i t. d., i t. p.

Powiedzcież czytelnicy szanowni, co ma znaczyć to wszystko?

W każdym razie niewypowiedzianie jest upokarzające przejmowanie się sprawami podobnemi, wleczenie ich przed forum opinii, zaprzątanie niemi biednych czerepów ludzkich, które tyle przecież—tyle mają do zrobienia.

Jeśli to ty karnawale oprócz innych, takie wyrządzasz ludziom psoty, to bodajeś przepadł raz na zawsze!

Smreczyński Staw.

Z CYKLU

„TATRY."

U stóp nagich turni śpi błękitne, ciche jezioro. Smereki zielonym wieńcem wiją się dokoła wodnego zwierciadła i zaglądają w nieruchomą toń... Cisza... cisza tak wielka, jakby na dnie tego jeziora spała tajemnica jakaś pod błyszczącą szybą wód zaklęta.

Najlżejszy powiew wietrzyka nawet na chwilę jedną nie marszczy jego fali — spokój...

Cichy ty stawie, milczący stawie, dziwaczna Tatr zagadko!..

Gdy życie śpi — żyje sen...

W jasną, miesięczną noc duch poety błądzi nad jeziorem. Wije się pomiędzy mgły sine, przez promienie księżyca się przedziera... Mgły myślą, że on także tylko chmurką białą, promienie widzą, że to także promyk złoty—więc sunie się cichy, nie płosząc lekkich duchów górskich. Między świerkami strażnik zaklętych skarbów, wąż w koronie, migoce dyamentowym dyademem przed boginką Dunajca, której oczy cudniejszem płoną światłem, niż brylanty starego króla. Boginka zwolna płynie ku halom. Duchy uśpionych kozic skalnych ze skał przeskakują na skały—z boku Mnich sunie widmem szarem, ogromnem...

Duch poety unosi się nad wodami, sięga zadumą w toń, złotą od miesięcznych promieni. Toń śpi cicha. Poeta błądzi między smereki zielone, na aksamitnych mchach składa głowę i śni. Jasna boginka siklawy srebrzystej sunie ku niemu. Szata jej z drobnych perełek kaskady skrzy się i mieni opalowem światłem. U boku jej duch sennej łani, która co ranka i co wieczora w siklawy wodach gasi pragnienie...

Poeta spogląda na boginkę, na długie włosy jej osypane pyłem wodnym i mową duchów, bezdźwięczną dla uszu śmiertelnych, śpiewną muzyką dusz ją prosi...

— O srebrzysta, objaw mi tajemnicę jeziora!

A ona przygasła nagle, śćmiły się blaski perłowej jej szaty, i wionęła z poetą nad powierzchnię fal.

— Staw—mój kochanek! miły mój!—mówiła — patrz, dzisiaj martwy leży, cichy! Nie drgnie, choć patrzę nań oczyma złotemi, nie ożywi się, choć patrzę nań oczyma miłości!

Niegdyś, niegdyś, przed laty, wody nasze wiosenne łączyły się w tajemniczym uścisku, a nikt z duchów nie wiedział, kogo staw błękitny przyjmuje na łono swoje, nikt nie wiedział komu biała boginka siklawy pić pozwala z przeczystych swych źródeł. Marszczyła się wtedy toń jeziora dreszczem rozkoszy, miłości dreszczem drżała srebrzysta wstęga siklawy. Aż jednej chmurnej, jesiennej nocy przyleciał tu archanioł biały. Mieczem ognistym w serce stawu ugodził, łono jego w krzyż rozdarł aż do głębi i w otwartą otchłań jeziora wstąpić kazał duszom ludzi jakichś bardzo smutnych i sennych głęboko. Strząsał je ze śnieżnej białości piór swoich, jak krople krwawe... i poszły dusze te spać na dno jeziora, a wody stawu zamknęły się nad niemi. Archanioł mieczem ognistym przeżegnał staw trzy razy, i zaklął go na ciszę wieczną, na niezmąconą ciszę, na wiekuiste milczenie... Odtąd po kamykach lecą wody moje w daleką, w daleką krainę i dzwonią smutno, i szemrzą cicho, i tęsknią, i płyną...

Raz tylko w rok łamią się wody jeziora i dusze uśpione wypływają na powierzchnię stawu, by powitać miesiąc blady. Dziś się ukażą... już słychać cichą muzykę fal...

Z wnętrza stawu szło smutne, przenikliwe granie. Poeta poznał w niem znajomych mu płaczów echa, i znajomych skarg poznał ból... więc słuchał, a staw wciąż grał z cicha... Miesiąc lał dokoła światłość zielonawą, smutną, fala srebrna drgała coraz żywiej, aż pękło kryształne wód zwierciadło i ukazała się blada, bolesna twarz kobiety...

Poeta poznał ją, choć nie podniosła przymkniętych powiek, choć nie rozchyliła zsiniałych ust.

— Kochałam—niekochana...—zagrała smutno fala, i widmo napowrót zapadło w toń, tylko ciemnym jej włosem przez chwilę jeszcze bawił się smętny promień miesiąca. — Kochałam — niekochana, miłość jest jak śmierć—powtarzała wciąż fala śpiewna, a poeta płakał cicho, zakrywszy twarz rękami.

Umilkły dźwięki, i zagrały znowu w zgrzytliwy jakiś i straszny ton. Poeta spojrzał: w świetle księżycowem bielały złożone dłonie, i była jakaś okropna niemoc i wyrzut bluźnierczy w tych rękach wyciągniętych ku niebu. Poeta patrzył... pod powierzchnią fal rysowała się głowa jakaś o długiej, czarnej brodzie, o oczach otwartych, płonących, i widział, jakby zarys habitu. Gruby sznur owijał mu się dokoła szyi. Wsłuchał się poeta uważnie, fala grała:

— On modlił się, on błagał Cię, on nie był wysłuchany, Panie! On nie za siebie modlił się... Tyś nie wysłuchał go!..

Pieśń stawu była jak jęk surmy starej, jak jęk Dawidzkiej harfy obłąkanej, i zerwała się nagle i przepadła...

Duch poety rad był, że straszny ten śpiew umilkł wreszcie, że ucichły głosy rozpaczy i buntu. Lecz wnet ku powierzchni stawu podniosło się znowu smutne, blade oblicze... fala milczała, lecz poeta poznał go...

— Czy prawda, co szemrzą potoki nasze i krynice—pytała cicho boginka—czy prawda, że go żywym w ciemnym grobowcu zamknięto, że odwalić chciał kamień, by wyjść na światło, lecz sił mu zabrakło, więc uderzył głową o ścianę kamienną i skonał w męce?

— Prawda, patrz na głowę jego strzaskaną i krwawą.

Cisza była przez chwilę żałobna, potem cudna jakaś zadźwięczała muzyka. Poeta spojrzał... biała jakaś dłoń potrącała o struny lut-

ni... stare turnie echem odpowiadać zaczęły potężnej pieśni... wtem pękła struna, przerwał się śpiew, ponad lutnią zszarpaną zamknęły się wody jeziora.

I jeszcze niejedna młodzieńcza, piętnem rozpaczy naznaczona twarz wyjrzała z głębiny, ale poeta nie patrzał już; serce mu się rwało i targało w piersi.

Smutny śmiertelnie opuszczał duch poety samotne ustronie.

Helena Ceysinger.

Z GALICYI.

Na dzień 7 Czerwca roku bieżącego przygotowuje Kraków w murach swoich wielką uroczystość. Będzie to obchód pięćsetletniego istnienia wszechnicy Jagiellońskiej, urządzający bowiem ten jubileusz, wzięli jako datę, epokę właściwej organizacyi Uniwersytetu rok 1400, w którym, jak wiadomo, za wpływem królowej Jadwigi, dokonano reformy tej najwyższej szkoły krajowej, wprowadzono wszystkie fakultety i uzupełniono skład ciała nauczającego. Data 1364 r., którą historycy podają jako początek akademii Kazimierzowskiej, miała swój obchód pięćsetletni w roku 1864, upamiętniony wydaniem księgi pamiątkowej.

Przygotowaniami do uroczystości czerwcowych w Krakowie kieruje specyalny komitet jubileuszowy, podzielony na kilka sekcyj; na czele jego stoi profesor Stanisław Smolka. Niema tam jeszcze, jak się zdaje nic postanowionego, niema programu szczegółowego, wiadomo tylko, że uroczystość sama poza jeden dzień się nie przeciągnie. Po dniu tym dopiero otworzą swoje zebrania liczne zjazdy naukowe, które będą niejako jej uzupełnieniem i ciągiem dalszym. W dniu 6-ym Czerwca daje miasto wielki bal dla uczestników obchodu, krajowych i zagranicznych; festyn posłużyć ma do zbliżenia się między ludźmi naszymi i zaproszonymi na ten dzień uczonymi cudzoziemcami. Bardzo zaciekawia nas, przyznajemy się do tego, wybór osób, wydaje nam się bowiem, że liczba tych gości obcych bardzo znaczną być nie może.

Rada miejska z profesorem Łuszczkiewiczem na czele zamierza urządzić na ten czas w Krakowie wystawę przedmiotów sztuki i przemysłu z XV i XVI wieku. Zdaje się, że na materyale zbraknąć nie powinno. Zabytków sztuki ma Galicya w instytucyach i w rękach prywatnych jeszcze chyba ilość pokaźną, a nie bez tego, żebyśmy i my do zwiększenia i uświetnienia tej wystawy niczem przyłożyć się nie mieli.

Restauracya katedry na Wawelu nie w porę wypadła, pochód bowiem profesorów biorących udział w jubileuszowej uroczystości wyruszyć ma, jak zapewniają, z dzisiejszego *Collegium Novum* i dążyć na zamek, gdzie odprawionem zostanie uroczyste nabożeństwo. Główną treść obchodu stanowić mają przemowy okolicznościowe uczestników i wręczenie dyplomów honorowych, których liczą dziś podobno 60. Akt ten dopełnionym będzie w kościele św. Anny, który od roku 1418 uważanym był za świątynię Akademii. Władze duchowne chętnie użyczają na ten cel kościoła, przez wzgląd na duchowny charakter nauczania w owej epoce; niemniej ze względu, że uroczystość z natury swojej będzie świecką, ołtarz główny zostanie przysłoniętym. Publiczność wpuszczaną będzie za biletami.

Po ceremoniale wręczenia dyplomów honorowych nastąpi odsłonięcie w dziedzińcu biblioteki Jagiellońskiej pomnika Kopernika, dłuta Cypryana Godebskiego. W godzinach popołudniowych będzie uczta organizowana przez komitet jubileuszowy, a wieczorem przedstawienie galowe w teatrze. Sztuk wybranych niema dotąd; podobno to stanowi poważny kłopot dla organizatorów, bo idzie o to, aby się łaskawi na nas goście zagraniczni zbytecznie nie znudzili, nie rozumiejąc naszego języka. Dlatego większość produkcyi scenicznej wypełnić ma muzyka; ale o tym wyborze także nic niewiadomo, oprócz przygotowanej *ad hoc* kantaty Żeleńskiego do słów Deotymy.

Bardzo jest obowiązująca ta nasza troskliwa gościnność, którą tak radzi manifestujemy przy każdej sposobności, zapominając, że od czasów gdyśmy w tej cnocie celowali wśród rodziny ludów cywilizowanych, bardzo wiele się u nas i dokoła nas zmieniło. Nie zawsze też umiemy zastosować jej miarę, a w danym wypadku bardzobyśmy oglądać się powinni co do tych oznak. Uprzejmość i gościnność jest dobra o tyle, o ile jest wyzajemnianiem się za wyświadczony nam w jakikolwiek sposób akt uznania, albo przynajmniej o tyle, o ile takie odwzajemnienie w przyszłości w zakres trzeźwych przewidywań wchodzić może. Inaczej gościnność wychodzi na płaskie przymilanie się, którego my, święcąc akt naszego poważnego uczestnictwa w starej cywilizacyi, starannie unikaćbyśmy powinni. A tak trudno u nas o tę miarę — tak bardzo trudno! Ile razy wystąpimy z jakim festynem i podejmujemy na nim kogoś obcego, tyle razy boleśnie uderza w oczy bijący fakt, żeśmy w nastroju serdecznym przeholowali.

Ze względu, że w obchodzie tym po profesorach i uczonych pierwsze prawo do udziału ma młodzież uniwersytecka, utworzonym został z grona tej ostatniej komitet, który z komitetem profesorów zostaje w ciągłej łączności. Mówią, że mają zamiar młodzi wydać książkę pamiątkową zbiorową, złożoną z prac naukowych i literackich, że na scenie teatru odegraną być ma przez nich „Odprawa posłów greckich“ Kochanowskiego i że na akademickim festynie ugoszczą oni kolegów zagranicznych, którzy przybędą na obchód. Czytamy w jednej korespondencyi, że festyn ten ma się nazywać *komersem*. Byłoby to smutnem, gdybyśmy się aż do tego terminu schylić mieli, choćby ze względu, że od tak zwanych *komersów* młodzieży uniwersyteckiej Niemiec całych, nie zna z pewnością świat cywilizowany nic bezmyślniejszego, a nawet idyotyczniejszego. Ciekawa rzecz, czy też i młodzież niemiecka będzie należała do zaproszonych i podejmowanych? Wyznajemy, że po tylu aktach dzikości, z jaką się ci wchodzący w życie domniemani następcy i spadkobiercy myśli niemieckiej współczesnej, w kilku uniwersytetach względem nas zamanifestowali, zaproszeniu temu nie umieliśmy wyszukać nazwiska. Ha! nie tak przecież daleko do 7 Czerwca. Kto dożyje, ten zobaczy.

Na zakończenie wypadnie coś powiedzieć i o materyalnej stronie tego przedsięwzięcia, zwłaszcza gdy ona dzisiaj już przyprawia o kłopot jego organizatorów. Wszędzie gdzie się podobna uroczystość święci przystępuje z subwencyą rząd, następnie miasto, a resztę dopiero, jeśli jeszcze coś do dopełnienia pozostaje, bierze na siebie gorliwość obywatelska ludzi możnych. Tutaj będzie wprost odwrotnie. O forszusie państwowym nie może być mowy, wreszcie nie żądano tego i słusznie zdaniem naszem zupełnie; miasto jest ubogie, jak wiemy i w istocie wiele dać nie będzie mogło, brzemię zatem wydatków obciąży, jak to zawsze u nas bywa, ludzi prywatnych.

Nie mówimy, aby się ze względu na to od obchodu powstrzymać należało. Przeciwnie, obchód powinien mieć miejsce, tylko ze splendoru moglibyśmy opuścić coś niecoś. Mniej blichtru, a więcej powagi, samowiedzy i godności — koniecznie więcej, niż okazywaliśmy dotąd w okolicznościach analogicznych.

Pod datą 19 Lutego, jak donoszą telegraficznie „Kuryerowi Warszawskiemu,“ urządzał chór akademicki w teatrze miejskim w Krakowie wspaniały wieczór ku uczczeniu dwudziestopięciolecia literackiej działalności Henryka Sienkiewicza. Nastrój publiczności wyłącznie ze sfer intelligentnych złożonej, był nader uroczysty. Wieczór rozpoczął hr. Stanisław Tarnowski odczytem, w którym w słowach podniosłych a pełnych entuzyazmu dla Henryka Sienkiewicza, streścił duchowy wizerunek znakomitego pisarza i wyjaśnił jego stanowisko w literaturze wszechświatowej. Po odczycie nastąpiły żywe obrazy z Trylogii i „Quo vadis“ układu Wyczółkowskiego, które na widzach zrobiły wielkie wrażenie. Programu dopełniły: kantata rycerska skomponowana ad hoc przez Zygmunta Noskowskiego, a wykonana przez chór akademicki, popisy solowe wokalne, nakoniec amatorowie odegrali sztukę Sienkiewicza pod tytułem: „Czyja wina?“

Jednem słowem Kraków zrobił co do niego należało.

Korespondent „Wieku“ donosi o znakomitem odkryciu z dziedziny chirurgii operatywnej, dokonanem w ostatnich czasach we Lwowie przez profesora patologii ogólnej i doświadczalnej tamtejszego uniwersytetu, doktora Jana Prusa, o którem dotąd wie już zapewne cały świat naukowy europejski. Dr. Prus urodził się i kończył gimnazyum w Wadowicach w Galicyi, studya zaś lekarskie odbył w Krakowie, gdzie otrzymał stopień doktora medycyny w roku 1883. Liczy obecnie lat 41. Przez dłuższy czas był asystentem przy katedrze patologii i w klinice chorób wewnętrznych. Potem pracował w Paryżu w instytucie patologicznym Cornil'a i w klinice Charcot'a. Profesorem uniwersytetu lwowskiego jest od roku 1896. Działalności jego naukowo-literackiej są ślady w licznych broszurach ogłaszanych w polskim, francuzkim i niemieckim języku.

Po tej treściwej wzmiance biograficznej postaramy się objaśnić czytelnika na czem polega odkrycie naukowe dr. Prusa.

Zazwyczaj metodą, jaką stosowała dotąd medycyna w wypadkach śmierci skutkiem uduszenia, było sztuczne przywracanie respiracyi, za pomocą odpowiednich mechanicznych ruchów rąk wywołujących takież ruchy klatki piersiowej. Uciekano się powszechnie do tego środka w razie asphyxii przy powieszeniu, wskutek utraty oddechu przy nieostrożnem chloroformowaniu i t. p. Skuteczność jednakże tych środków zaradczych była bardzo względna i zależna całkowicie od czasu, w którym pośpieszyć zdołano z pomocą lekarską, a czas ten był niezmiernie krótkim.

Otóż dr. Prus wynalazł sposób obudzenia życia wtedy już, kiedy ono znanymi dotąd sposobami nie mogłoby być przywróconem, i dokonywa tego na drodze operatywnej, po jakichś trzydziestu minutach od chwili zupełnego ustania ruchów serca, co demonstrował na zwierzętach, na jednem z ostatnich posiedzeń towarzystwa lekarskiego we Lwowie. Dr. Prus otwierał klatkę piersiową zwierzęcia, a gdy okazało się na przedmiocie doświadczeń zupełne ustanie funkcyi życiowych, rozpoczynał przy pomocy mieszka wprowadzanie powietrza do płuc, serce zaś masował mechanicznie, pobudzając je do funkcyi rozprowadzania krwi w organizmie. Kilkakrotne próby uwieńczyło zupełne powodzenie i zwierzęta operowane żyją dotąd.

Jestto zatem olbrzymie zwiększenie szans przywrócenia do życia tych, których w zakresie dotychczasowych środków naukowych uważalibyśmy za zgubionych stanowczo i nieodwołalnie. Wielež to razy słyszał z nas każdy, że ratunek w danym wypadku przybył zbyt późno.

K.

Z dziedziny wynalazków.

Niebezpiecznie jest zaprzeczać w naszych czasach poetom daru wróżenia przyszłości — niebezpiecznie wogóle mówić o niepodobieństwach. Jutro możemy ujrzeć wykonanem to, co wczoraj trzeźwy rozsądek nieziszczalną mrzonką nazywał, a między wielkimi wynalazkami naszej epoki nie znajdzie się prawdopodobnie ani jeden taki, o którymby na lat dziesiątki przedtem nie śniła już była wyobraźnia poety. Przechodzimy mimo takiej wieszczby niejednej, nie starając się nawet odgadnąć jej znaczenia, bierzemy ją niejednokrotnie za symbol, aż oto ni ztąd ni zowąd symbol przybiera kształty rzeczywistości, myśl mglista wciela się w życie, potężnieje, staje rzeczą codzienną, a wreszcie jako stara, zużyta, pierwotna, ustępuje koleją rzeczy ludzkich w cień i zapomnienie.

Mało jest zapewne między czytelnikami naszymi takich, którychby nie czarowało w epoce wczesnej młodości wspaniałe dzieło Juliusza Verne'a, noszące tytuł: „Dwadzieścia tysięcy mil żeglugi podmorskiej.“ Zdaje się, że praca ta stanowi w rozwoju znakomitego francuzkiego poety-prozaika punkt kulminacyjny. Nie mówiąc o wyobraźniach dziecinnych, które goreją przy czytaniu tych fantazyjnych, a jak gdyby żywcem wziętych z rzeczywistości, opisów, jest zaiste zająć czem umysł dojrzały zupełnie, i taki nawet, który sporą ilość wrażeń literackich i artystycznych przetrawił. Mistrzowstwo Verné'a leży tutaj nietylko w bajecznej żywości opisie flory podmorskiej i życia w otchłaniach oceanu, ale i w budowie samej szkieletu powieściowego, który nietylko czytelnika nieświadomego łudzi dotykalną zdaje się prawdą ekspozycyi, ale i naturaliście i technikowi da sposobność zaprzeczenia prawdzie z tego tylko punktu, że to, o czem mówi autor w dziedzinie mechaniki nie istnieje — żeby istnieć nie mogło i żeby pomysł sam miał być wobec nauki absurdem, nie powiedział żaden z nich.

Mówimy tu o statku podwodnym Indyjskiego księcia Dakhara zwanego w powieści kapitanem Nemo, statku, posiadającym szybkość wyższą o wiele niż wszelkie najlżejsze parowce nawodne, zanurzającym się dowolnie, wypływającym na żądanie, obsługiwanym motorem elektrycznym, oświetlonym tą samą siłą — statku iście z tysiąca i jednej nocy, wyśnionym w wyobraźni poety. Ileż to niepokojów zrodził ten statek w ruchliwych mózgach rozwijającej się młodzieży — ile kłopotliwych dla nauczycieli zapytań wywołał! Możebny czy niemożebny? prawdopodobny — czy nieprawdopodobny?

Otóż możebny, prawdopodobny, a co większa istniejący już dzisiaj, i co ważne dla naszego założenia, zbadany na podstawie myśli rzuconej przez znakomitego pisarza.

Gdzie stworzono to dziwo, zapytacie czytelnicy? Oczywiście tam, zkąd dostaje się światu większa część współczesnych wynalazków i odkryć w dziedzinie mechaniki, elektrotechniki i wogóle nauki stosowanej. Ale zamiast cobyśmy mieli swojemi własnemi słowy opowiadać o tym wielkim przewrocie w żegludze morskiej, powtórzymy sprawozdanie specyalisty p. Ash. Whitley, który o tym statku podwodnym pisze pod tytułem: „Podróż przez Atlantyk w ciągu trzech dni.“ Rzecz opatrzona jest rysunkami wyobrażającymi przecięcia pionowe i poziome tego „Nautilusa“ wcielonego w życie.

Tym, który rozwiązał ostatecznie zagadnienie żeglugi podmorskiej o dowolnem pogrążaniu się i najwyższej szybkości, jest Amerykanin James Gresham zamieszkały w Brooklynie na Lincolne-Place Nr. 148. Z powołania człowiek naukowy, przyrodnik, odznaczać się ma pomysłowością i wytrwaniem właściwym Yankesom. Ze szczególnem upodobaniem czytywał Verné'a i to zrodziło w nim myśl stworzenia przyrządu, któryby niewidziany na powierzchni oceanu przebiegał jego głębie z niemarzonym dotąd pośpiechem. Statek ten wykończany już tylko w szczegółach, stoi w dokach Newport-News i wedle wszelkich przewidywań puszczony będzie w pierwszą drogę do Europy około połowy Lipca bieżącego roku. Kształt tego statku wydłużony—jak go określił sam Verne, zbliżony do cygara; co do szybkości, to porównać ją można, zdaniem Whitley'a tylko do chmury pędzonej przez uragan. O podstawie tego wynalazku, badany przez sprawozdawcę Gresham powiedział tylko tyle, że do rzeczy stosowanych w nawigacyi współczesnej, dodał on przyrząd znany już przed dwoma tysiącami lat, którym posługują się w hydrostatyce, gdy idzie o wypompowanie wód z wielkich przestrzeni— jednem słowem szrubę Archimedesa. Na resztę objaśnień poczekają ciekawi zapewne te cztery miesiące, które nas dzielą od ukazania się Nautilusa na wodach Europejskich.

Okręty podwodne Greshama zabierać będą, wedle jego zapewnień, tylko pasażerów i depesze, mają one być na oceanie tem, czem jest express w komunikacyi kolejowej, ale nie zbraknie tam żadnego z udogodnień takich jak dzwonki elektryczne, takież oświetlenie i sygnały między różnemi częściami statku. Ten pierwszy, który wykończa się obecnie ma 56 stóp długości, to jest 17 metrów. Po pierwszych podróżach odbytych, następny, który budować się będzie, ma mieć 200 stóp. Wynalazca przekonany jest, że niemniej od konstrukcyi samej zadziwi świat siła poruszająca, którą zastosował. Motorem jest właściwie jakiś surrogat chemiczny i to stanowi główny przedmiot tajemnicy; w każdym razie wiadomo, że zapas tej substancyi wystarczający na drogę całą tam i z powrotem, zajmuje nadzwyczaj szczupłą przestrzeń.

Co się tyczy hyżości, to zapewnia Gresham, że będzie się ona tak miała do biegu najpośpieszniejszych steamerów amerykańskich, jak szybkość rekina do szybkości żółwia. Zresztą albożte trzy doby, w ciągu których odbyć się ma droga z Brooklynu do portów angielskich nie odpowiadają na wszystko?

X.

Z pieśni naszych.

(wydawnictwo p. Lisowskiej).

Pod tym tytułem ukazał się niedawno niezwykle piękny zbiorek wierszy, wydany nakładem jedynej w Warszawie księgarni, prowadzonej przez kobietę.

Słusznie powiada w przedmowie p. Chrzanowski: „Niech idzie w świat ta książka, bo w nią kochająca ręka włożyła garść świętych pamiątek.“ Rzeczywiście tylko serce gorąco kochające młodzież mogło dla niej taki uczynić wybór z pereł literatury naszej.

Na czele spotykamy piękne słowa Asnyka: „Szukajcie prawdy jasnego promienia,“ dalej rzewne zapytanie Gaszyńskiego: „A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni niezapominki i kaliny rosną?“ i Ilnickiej serdeczne „Przełamanie się opłatkiem,“ i wieszcza z Czarnolasu stary hymn do Boga, i Konopnickiej: „Nie skarż się!“ i tyle, tyle innych cudnych rzeczy. A dalej tak mało dziś znany Lenartowicza „Wiersz do poezyi,“ Deotymy kilka wdzięcznych utworów.

Potem następują olbrzymy poezyi naszej: Mickiewicza „Oda do młodości,“ „Farys,“ „Pieśń Wajdeloty,“ Słowackiego „W pamiętniku Zosi,“ „Smutno mi Boże,“ Ujejskiego „Przeklęci,“ Zaleskiego „Podzwonne“ — oto klejnoty tego bogatego zbioru, który znaleźć się powinien w każdym domu, wszędzie, gdzie młode serca biją dla prawdy i piękna.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

— Czyją? — powtórzył ze wzburzenizm Frydecki.—Kochanka nieboszczki mej żony. Nie będę ci opowiadał, com przez to przecierpiał. Piekielne zaiste przeszedłem męki, bo z twarzy Flory spoglądał na mnie nieustannie zabójca mego szczęścia, i myślałem, że czaszkę dziecku temu roztrzaskam, aby ochłodzić żar nienawiści i ugasić dzikie zemsty pragnienie.

Stary ten człowiek zmienił się cały, rysy twarzy drgały mu kurczowo, a palce u rąk obu wpijały się jak szpony drapieżnego zwierzęcia w poręcze fotelu. Namiętne jego słowa wstrząsły mną do głębi, stałem jak w posąg obrócony.

Frydecki westchnął głęboko kilka razy, zgarbił się znowu w swym fotelu i zaczął mówić dalej.

— Dziwisz się wybuchowi namiętności u człowieka zazwyczaj tak zimnego?—spytał, tłumiąc wzburzenie i na wymuszony jakiś zdobywając się spokój.—Dziwię się i ja sam, ale com ci przed chwilą odkrył, nie przeszło od czasu, gdym z tajemnicy ojcu twemu się zwierzył, przez moje usta, choć świadomość nieszczęścia przez całe życie, jak góra, duszę i ciało mi gniotła i na proch miażdżyła. Niedziw tedy, że długo tłumione uczucie, niby rwący, groblami wstrzymywany potok, na okamgnienie mię porwało. Jak widzisz, opanowałem się znowu.

Wstał i zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju, a ja czekałem w milczeniu, aż znowu przemówi. Stało się to po kilku minutach.

— Matka Flory była piękna, cudownie piękna! — jął opowiadać głuchym głosem, w którym uciszające się wzburzenie tu i owdzie jeszcze czuć się dawało. — Ojciec twój kochał ją dawno przedtem, zanim ja ją poznałem. Prosił o jej rękę, a ona z błahego odrzuciła go kaprysu. Ojciec twój wyjechał z Czech w długą podróż po świecie, a powróciwszy, ożenił się; zawarł związek, który ludzie nazywają małżeństwem z rozumu. Tymczasem ja poznałem się później z dziewczęciem, które przyjaciela mego tak nieuleczalnie odmową zraniło, że nigdy o niej nie przestawał myśleć. Ojciec twój był pięknym mężczyzną, wielkiej ogłady—ja tem nigdy nie byłem. Jednak matka Flory dała mi pierwszeństwo przed wszystkimi, którzy jej się korzyli. Każdy się dziwił, gdy sławna piękność wyszła za mąż za człowieka tak pozbawionego wszelkich świetnych przymiotów, jak ja nim byłem. Nie zwracałem nigdy uwagi na żadną kobietę; gdy więc rozgorzałem miłością dla niej, tak gwałtowną, tak dziką, że podobnej nie znała może z opisów powieściowych, dała się porwać nowości tego wrażenia. Wybuch ognia z góry lodowej zdumiał ją i zachwycił. To jest mniej więcej klucz do zagadki, której niewtajemniczeni wytłómaczyć sobie nie mogli. Przyjąłem był wówczas profesurę w uniwersytecie Jenajskim. Młoda żona moja, która się nadto o wiele młodszą wydawała niż była w istocie, stała się wkrótce znaną w całem mieście z olśniewającej swej piękności, i dom nasz napełnił się tłumem odwiedzających i przyjaciół. Byłem dumny z rozgłosu żony i nie sprzeciwiałem się jej upodobaniu do życia gwarnego i wesołego. Byłbym w ślepej słabości błękit zerwał dla niej z firmamentu, bo kochałem ją co dzień bardziej, zwłaszcza gdy mnie po kilku latach córką obdarzyła. Ale pewnego dnia runęła nagle budowa mego szczęścia, tak nagle, jako gdy z jasnego nieba piorun uderzy. Flora miała nieco więcej nad rok, gdy nagle się rozchorowała, tak, że mało było nadziei, aby żyć mogła. Żona moja łamała ręce i kąpała się wprost w gorzkich łzach, które z oczu ciec jej nie przestawały. Jednego rana, gdy po bezsennej nocy, w pokoju moim na kanapce usnęła, a ja siedziałem obok niej, wpatrzony w zapadłe jej policzki, rozwarły się nagle drzwi, i niańka nasza z szalonym krzykiem wpadła do pokoju: „Na Boga, pani!"— krzyczała w niebogłosy—„aniołek nasz skonał, skonał!" Na fatalny ten krzyk, zerwała się żona ze snu, i rzuciła jak szalona na nieruchome ciało córeczki, rwała sobie włosy z głowy, biła się pięścią w piersi i w rozpaczy straszliwej tarzała się po podłodze. „Bóg mię karze za czarną zdradę moją, za ciężki mój grzech!" — wołała—i tonąc we łzach, przeklinając okropnie siebie samą, wyznała, że Flora nie jest dzieckiem mojem, lecz owocem tajemnego stosunku z młodym jednym amerykaninem, który w Jenie do uniwersytetu uczęszczał, i dom nasz odwiedzał. Po piorunującem wyznaniu tem własnej hańby i druzgocącego mnie nieszczęścia, porwała się z ziemi, kędy u nóg moich się wiła, pocałowała raz jeszcze dziecko i nim temu przeszkodzić zdołałem, skoczyła na krawędź okna i rzuciła się z drugiego piętra na bruk, gdzie zabiła się w okamgnieniu... Gdyby była jeszcze chwil kilka żyła, przekonałaby się o bezpodstawności swojej rozpaczy, Flora bowiem okazała, mniej więcej w tej samej chwili, gdy matka jej konała na dole, słabe ślady powracającego żywota... Kochanek mej żony znikł tegoż dnia z miasta, i nigdy już o nim nie słyszałem; poszukiwania moje były próżne, i moja żądza pomsty żadnego uie zaznała ukojenia... Zostało mi to dziecko; nie umarło, acz gorąco śmierci jego pragnąłem. Odpuściłem żonie jej winę, nie przeklinałem jej, ale życie moje było zniweczone. Na Florę nie mogłem nigdy spojrzeć bez wstrętu, było to dziecię obce, dziecię hańby, i zarazem przyczyna, choć niewinna, śmierci jedynej kobiety, którą w życiu kochałem. Znienawidziłem świat cały—a jeżeli nie odtrąciłem publicznie dziecięcia swej żony, stało się to jedynie przez wzgląd na pamięć nieboszczki, którą mi śmierć jej straszliwa, pomimo całej winy, jak gdyby świętą była uczyniła. Z ojcem twym zostaliśmy zawsze wiernymi przyjaciółmi; wspomnienia o kobiecie, która na żywoty nas obu ciemny cień rzuciła, stało się nowym, mocniej jeszcze wiążącym nas węzłem. Teraz wiesz wszystko.

Po tych słowach wsparł głowę o ramę zamkniętego okna, do którego był przystąpił, tak, żem twarzy jego widzieć nie mógł. Gdy po jakiejś chwili znowu ku mnie się zwrócił, wyraz jego oblicza był spokojny i zimny jak zwykle. Żadnego wzburzenia nie było już ani śladu. Gdyby kto w tej chwili był wszedł do pracowni, nie byłby zaiste zgadł więcej, nie byłby nawet przeczuwał, że Frydecki, wstrząśnięty aż do najgłębszych podstaw swego jestestwa, odgarnął właśnie przed okiem mej świadomości zasłonę, która dotąd tajemnicę życia jego zakrywała. I moje uczucia i myśli uciszyły się powoli i w zwykłym w piersiach pogrążyły się spokoju, z którego przyjaciel ojca w tak zdumiewający i niespodziany wyrwał mię sposób. Ale jedna struna drgała jednak ciągle w mem sercu, słodko-bolesnym jakimś napełniając je dźwiękiem. Było to współczucie głębokie dla tego biednego, bez miłości wyrosłego dziecięcia grzesznej kobiety, dla tej młodej dziewczyny, żyjącej w domu ojcowskim, jak obca, dla tej odtrąconej, miłości godnej, a przecież niemiłowanej istoty, która, jak niegdyś Izmael, w dali od opiekuńczego cienia namiotów ojcowskich, w piaskach pustyni z pragnienia konała, ale z pragnienia za wodami miłości, tego świętego źródła, które z ukrycia straconego wytryska edenu, i ludzkość rajską upaja rosą. O ty, ciemne, marzące oko gazelli, przeto więc ten cień smutku w gwiaździstej twej głębi!

— Nie zniweczyłem-że sam swoich zamiarów — wyrwał mię Frydecki z zadumy — nie zniweczyłem-że sam swoich zamiarów, zwierzywszy ci się, jakiej kobiety córkę za małżonkę ci daję. Ale upewniam cię, nie ma natury matki, z twarzy podobna jest do owego...

Machnąłem ręką na znak, aby przerwał tak przykre wyjaśnienia. Na chwilę gardło mi się ścisnęło i krew nabiegła falą do twarzy.

— Daj mi pan Florę — wyrzuciłem nagle z siebie—ufam, że będzie szczęśliwa.

Frydecki uścisnął mnie gorąco.

— Ale kto mi zaręczy, że ona mnie przyjmie?—dodałem po chwili prawie nieśmiało.

— Ja! — zawołał Frydecki, i rzucił się ku drzwiom.

— Stój pan!—wstrzymałem go. — Nie chcę żadnej przez pański nacisk wymuszonej zgody! Flora będzie moją, jeśli zezwoli dobrowolnie. Tylko tak, a nie inaczej gotów jestem zawrzeć ten związek.

— Nie obawiaj się niczego, mój chłopcze— cieszył się Frydecki — rozmów się więc sam z Florą, a zobaczysz. Powiem jej tylko, że związku tego pragnę, i więcej nic. Idź tymczasem do ogrodu i obejrzyj sobie storczyki, które hoduję. Znajdziesz je za domem—pysznię się niemi. Niedaleko już do południa, obiad jemy z uderzeniem dwunastej, jak prawdziwi wieśniacy — nieboszczkę matkę twoją gorszyło to zawsze niesłychanie. Idź tedy, a gdy się przy obiedzie zejdziemy, poznasz zaraz z twarzy twej narzeczonej, jak wiadomość o tem przyjęła. Po obiedzie śpię zwykle parę godzin, a wy przez ten czas przechadzając się w ogrodzie, będziecie mieli doskonałą sposobność do zapalenia w sercach bengalskiego ognia miłości i do opiewania bożka Amora prozą i wierszem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Katastrofa kolejowa.

W dniu 22 Lutego o godzinie 7 zrana na stacyi kolei Obwodowej na Czystem przy silnej mgle (o 5 wiorst od stacyi Warszawa kolei Nadwiślańskiej) odbywało się przesuwanie wagonów. Jedna z przeznaczonych na ten cel lokomotyw stała właśnie na linii w zupełnem pogotowiu do ruszenia. W chwili, gdy maszynista kładł rękę aby odsunąć regulator i puścić w ruch lokomotywę, najechał na nią z tyłu jeden z pociągów manewrujących. Wskutek tego uderzenia maszynista wyrzucony został z parowozu, palacz tak samo upadł na ziemię pozbawiony zupełnie przytomności. Robotnicy obecni na plancie zajęci byli niesieniem pomocy ciężko potłuczonym ludziom, dlatego też nie można się dziwić, że żadnemu z nich w tym popłochu nie przyszła do głowy myśl wskoczenia na maszynę i zamknięcia regulatora puszczającego parę do cylindrów. Tymczasem parowóz pozostawiony z otwartym regulatorem, ruszył po lekkiej pochyłości znajdującej się na plancie, w kierunku stacyi Warszawa—Nadwiślańska, i zanim spostrzeżono fakt, zniknął we mgle porannej. Oto sprężyna katastrofy—dalszy ciąg, to już tylko następstwa nieuniknione.

Na stacyi Warszawa przygotowywano się właśnie do przyjęcia pociągu osobowego z Iwangrodu i gdy ten pociąg był już na moście, zauważono nagle zbliżającą się ze strony przeciwnej lokomotywę biegnącą po szynach przygotowanych do przyjęcia pociągu osobowego. Że na tej maszynie nie było obsługi nikt oczywiście nie wiedział. Zdziwienie i przestrach powstały dopiero wtedy właściwie, kiedy spostrzeżono, że parowóz pomimo dawanych sygnałów nie zatrzymał się na stacyi, a owszem już ją minął. Tym sposobem o zapobieżeniu starciu mowy być nie mogło żadnej.

Nastąpiło to starcie tuż za stacyą około przejazdu, podczas gdy ostatnie wagony były jeszcze na moście Pragskim, a maszynista zwalniał właśnie biegu przy wjeżdżaniu na stacyę. Uważać można tę okoliczność jako znakomicie zmniejszającą doniosłość nieszczęścia, gdyby bowiem starcie nastąpiło chwilę wcześniej, a zatem na moście, cały pociąg spadłby nieuchronnie w rzekę.

O godz. 7½ pomoc lekarska była już na miejscu, niebawem też rannych porozwoziły po pierwszym opatrunku karety Pogotowia — jednych do domów prywatnych, innych do szpitali. Jest tych rannych ogółem 17, a pomiędzy nimi 2 bardzo ciężko. Wina cała, jak się pokazuje, jest po stronie tego, który niebacznie uderzył pociągiem w maszynę ruszającą z miejsca i pozbawił ją obsługi, zresztą śledztwo okaże, jak się stało wszystko, gdyż dotąd są to tylko wiadomości pochwytane w pierwszej chwili, a do takich relacyj nigdy całkowitej wiary przywiązywać nie można.

Pogotowie ratunkowe.

Ze sprawozdania Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej wydanego za rok ubiegły 1899 dowiadujemy się:

Że wydatki instytucyi w roku ubiegłym dosięgły cyfry 32,108 rs., a w tem znajdujemy główne następne pozycye: 2,256 rs. koszta urządzenia zabawy w ogrodzie Saskim — komorne wraz z opałem i światłem 4,415 rs.—utrzymanie koni i konserwacya powozów i zaprzęży 4,997 rs.—kupno nowych koni i karet 2,287 rs.—pensye lekarzy 8,211—pensye, umundurowanie i utrzymanie służby 4,211 rs.

Dochody Pogotowia wyniosły ogółem biorąc kwotę 43,821, a oto główniejsze pozycye tworzące tę cyfrę: Zapomoga miejska 5,000 rs. — składki członków 7,674 rs. — ofiary jednorazowe i z pism peryodycznych 7,674 rs. — z balów brutto 17,386 rubli.

A zatem wolno nam powiedzieć, że młoda instytucya nasza dzielnie się wywiązywać musi z zadania swego, skoro jej to uznanie publiczne taką gotowością do ofiar okazuje, że się rozwija i zyskuje w opinii obcych, którzy po informacye do miasta naszego przybywają. Ale istnieć samodzielnie, bez odwoływania się do ofiarności publicznej, nie może Pogotowie dotąd, albowiem cały jego fundusz stały roczny stanowią te 5,000 rs., które z kasy miejskiej pobiera zarząd Pogotowia, a potrzebaby koniecznie dla dalszego rozwoju, aby instytucya miała dochodów stałych ilość pokaźniejszą, nadewszystko zaś, aby raz przyszła do siedziby własnej, obranej w punkcie miasta najodpowiedniejszym.

Zarząd wykazuje też inne jeszcze braki i niedobory, na które potrzebaby koniecznie zaradzić w przyszłości; są to wszakże wszystko sprawy dotyczące części specyalnej, którą my w tej wzmiance koniecznie pominąć musimy. Dla charakterystyki jednakże naszego życia miejskiego uważamy za obowiązkowe podzielenie się kilku cyframi statystycznemi zebranemi przez zarząd, które to życie z pewnego punktu zapatrywania dosyć wymownie illustrują. Idzie tu mianowicie o naturę wypadków, w których wzywano w roku ubiegłym pomocy Pogotowia.

A zatem zanotować wypada przedewszystkiem, że ilość wezwań pogotowia dosięgła w roku 1899 ogólnej liczby 6,780 razy, to znaczy, było o 2,567 wypadków więcej, niż w roku poprzedzającym. Dało to wezwań przeciętnych na dobę 18,45. Pomocy udzielono ogółem w 6,085 wypadkach, które wedle ich istoty ugrupować się dadzą w ten sposób: Cierpień wewnętrznych 1,734 — chirurgicznych 4,145 — cierpień specyalnie kobiecych 32 — Obłąkanych było 19 — Stwierdzono śmierci 118 — Było symulacyi 17.

OFIARY:

W. Franciszek Wasilewski z Bazyłowic nadesłał na nędzę wyjątkową rs. 10.

Wskazówki i rady.

Pasztet do smarowania bułeczek na sposób strasburgski.

Wziąść białą świeżą wątróbkę cielęcą, naszpikować gęsto młodą słoniną, podłożyć kilka plasterków słoniny i parę młodych grzybków lub trufli, trochę korzeni, jak anglelskie ziele, bobkowy listek jeden, odrobinkę gałki muszkatołowej i dusić pod pokrywką często przewracając, aby się nie przypaliła, w końcu duszenia posolić. Gdy przestygnie utłuc w moździerzu, przetrzeć przez sito i dolać filiżankę gęsiego szmalcu, z którym wymięszać dobrze. Słoninę uduszoną w kawałkach pokrajać w kostkę i posolić do smaku, a kto ma pieczoną zwierzynę, może pokrajać także w grubszą kostkę i przełożyć massę, układając w puszkę blaszaną lub wprost w masielniczkę porcelanową. Pasztet taki naśladuje zupełnie strasburgski — kto chce, może zamiast gęsiego szmalcu użyć młodego klarowanego masła, będzie równie smaczny, ale już tak długo jak z gęsim szmalcem konserwować się nie daje — bo wszelkie zagraniczne są robione na gęsim szmalcu.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

SYLWETKI.

Modne w początkach bieżącego stulecia „sylwetki“ wskrzeszono obecnie w Paryżu, gdzie wycinanie ich stanowi ulubioną zabawę. Podajemy szczegółowy opis tej roboty, uważając, że może się przydać i na naszych zebraniach towarzyskich, gdzie każda nowość jest pożądaną.

Bierze się papier umyślnie na sylwetki wyrabiany, z jednej strony czarny, z drugiej biały, umocowuje się na ścianie lub parawanie białą stroną na wierzch. Umieszcza się przed nim osobę portretowaną, która powinna siedzieć nieruchomo, za nią ustawia się lampę, najlepiej bez klosza lub latarnię czarnoksiężką. Odznacza się jak najstaranniej kontur profilu występujący wyraźnie na białej powierzchni, zachowując wiernie rysunek cienia, a potem wycina się z równą dokładnością. Dla ułatwienia nieruchomości modelu, można oprzeć jego twarz na szklance, która dnem opiera się o ścianę. Kto sobie życzy zmniejszyć rozmiary sylwetki, może to czynić za pomocą pantografu, który to przyrząd kosztuje u optyka rs. 2 kop. 75.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Długoletniej prenumeratorce. Listy do dr. Kozłowskiego pod wskazanym adresem należy pisać po polsku.

W-na Marya Swie. Kroje dołączone były do Nr. 5.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.



GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI



w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55

poleca na obecny sezon:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe. Kołdry watowane, flanelowe i pluszowe. Gotową bieliznę damską i męzką.

Płótna, ręczniki, chustki, stołowa bielizna.—Materyały meblowe. Firanki.—Dywany.—Portyery. 41

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

JAN GRUCZYŃSKI i S-ka

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

CENY PRZYSTĘPNE.

na sezon karnawałowy polecają:

Wełny z jedwabiem na suknie wieczorowe.
Jedwabie od skromnych do najstrojniejszych adamaszków.
Gazy i Muśliny jedwabne w najmodniejszych kolorach.
Tiule i muśliny bawełniane fantazyjne.

Aksamity miroir, Koronki, Wstawki, Gipiury i Galony. *CENY PRZYSTĘPNE.*

Tanio, bo na I-em piętrze! 164
Marszałkowska Nr. 87, róg Wspólnej.
P. MARCINKOWSKI i S. TOMCZAK
Pracownia Wieńców, Bukietów Makarta i Palm.
Przyjmuje obstalunki na roboty ze świeżych kwiatów. **Ceny nizkie.**

Dostawcy Dworu.

TOWARZYSTWO A. RALLE i S-ka

w Moskwie.

polecają: PERFUMERYĘ.

„Pensée"

Perfumy, Puder, Mydło i Wodę Kolońską

dostać można w Magazynie własnym
w Warszawie, ulica Wierzbowa № 7,
i w znaczniejszych magazynach perfumeryjnych,
oraz składach aptecznych.

SZKOŁA KROJU I SZYCIA
M-me MERCÈRE

Nowy Świat Nr. 42. 197

Kursy wyższe i niższe, system łatwy org. **Paryski**, zdejmowanie fasonów bez rysowania orm. Warunki przystępne. Wykład w 4-ch językach. Po ukończeniu uczennice otrzymują **patenty z Cechu**. Dla przyjezdnych **Pensjonat** z konwersacją **francuską, niemiecką i fortepianem.**

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE
Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***
w Warszawie, Nowy-Świat 21. 2022

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.

PUDER IRIS
nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**
Pudełko kop. 15. 30 i 50.
Główny Skład Solna № 9.
190

PRACOWNIA SUKIEN
J. KACZYŃSKIEJ
Uczennicy Hersego.
Poleca się na Karnawał. Ceny bardzo przystępne. **Zgoda 5 m. 28.** 2004

Bensdorpa czyste hollenderskie Kakao

wyróżnia się z pośród wszystkich innych marek wyjątkowo **doskonałym smakiem i absolutną czystością,** jest przytem łatwo rozpuszczalne i nadzwyczaj wydajne.

Konkuruje zatem li tylko **wysokim gatunkiem** (przy pełnej wadze puszek), co dla konsumenta tego artykułu jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia.

SKŁAD HURTOWY NA KROLESTWO POLSKIE
w Domu Handlowym
JAGIEŁŁO & KORZYCKI
Warszawa, Bielańska 9. 205

Hollandsche Cacao en Chocoladefabrieken
vh. Bensdorp & Co. A. G.
Amsterdam. Bussum

Ważne dla Pań!

Kuchenki naftowo-gazowe „Primus"

znalazły obszerne zastosowanie w gospodarstwie domowem, służą bowiem do gotowania i do nagrzewania ***żelazek do prasowania.*** „Primus" z przyrządem do prasowania nadaje się szczególniej dla pracowni sukien. **Nafty zużywa za 1 kop. na godzinę.**

Sprzedaż u **Ed. Dusoge**
Nowy Świat 5.
CENNIKI GRATIS. 211

APTEKA K. WENDY

Istniejąca od czasów elektorów saskich. 45

45. Krakow. Przedm. 45.
Telefonu Nr. 107.

Wszelkie najnowsze środki lekarskie, Trany, Wina lecznicze, Mydła lekarskie.

Дозволено цензурою. Варшава, 14 Февраля 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**
Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.